



UNIA POLSKICH PISARZY LEKARZY TORUŃ 2018

# TORUŃSKIE SPOTKANIE ZE SŁOWEM ALMANACH

JESIENNE  
SYMPOZJUM  
UPPL W TORUNIU  
21-23.09.2018



# TORUŃSKIE SPOTKANIE ZE SŁOWEM ALMANACH

JESIENNE SYMPOZJUM  
UNII POLSKICH PISARZY LEKARZY  
W TORUNIU  
21-23.09.2018





**Redakcja:**

Waldemar Hładki  
Janusz Czarnecki  
Anna Pituch-Noworolska

**Wydawca:**

Kujawsko-Pomorska Okręgowa Izba Lekarska  
Unia Polskich Pisarzy Lekarzy

Opracowanie graficzne, skład i druk:  
Kartel Press SA

Toruń 2019 r.  
ISBN 978-83-942437-7-7





### Szanowni Państwo

Almanach ten jest pokłosiem Jesiennego Sympozjum Unii Polskich Pisarzy Lekarzy w Toruniu w dniach od 21 do 23 września 2018 r., a dokładnie spektaklu poetycko-muzycznego, który odbył się 21 września w ramach naszego sympozjum. Znalazły się w nim utwory literackie autorstwa naszych koleżanek i kolegów pisarzy-lekarzy, którzy przyjechali do Torunia. Dzięki uprzejmości i wsparciu

Pana Doktora Wojciecha Kaatza – Prezesa Okręgowej Kujawsko-Pomorskiej Izby Lekarskiej, który był obecny na spektaklu, możemy podzielić się z czytelnikami wydarzeniem literackim z naszego toruńskiego spotkania zapisanym na papierze i wydany w formie almanachu. Serdecznie dziękuję wszystkim pisarzom lekarzom, autorkom i autorom tekstów.

Szczególne podziękowania wyrażam Prezesowi Kujawsko-Pomorskiej Okręgowej Izby Lekarskiej, Panu Doktorowi Wojciechowi Kaatzowi.

***Prezes Unii Polskich Pisarzy Lekarzy  
Prof. Waldemar Hładki***



## SPIS TREŚCI

|                                                                       |    |
|-----------------------------------------------------------------------|----|
| Prof. Waldemar Hładki – Prezes UPPL .....                             | 3  |
| Magdalena Człapińska – Jesienne Sympozjum UPPL w Toruniu .....        | 6  |
| Piotr Całbecki – Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego .....     | 9  |
| Michał Zaleski – Prezydent Miasta Torunia .....                       | 10 |
| Wojciech Kaatz – Prezes KPOIL .....                                   | 11 |
| Prolog – Wiesław Myśliwski <i>Kamień na kamieniu (fragment)</i> ..... | 12 |
| Patronat .....                                                        | 13 |



**Twórczość:**

|                                                                                   |        |
|-----------------------------------------------------------------------------------|--------|
| Maria Maślińska – <i>Poezja</i> .....                                             | 14     |
| Zbigniew Kostrzewa – <i>XXX Pamięci Antoniego Czechowa, Miniatura</i> .....       | 15     |
| Jarosław Wanecki – <i>Pont d'Avignon, Kod da Vinci</i> .....                      | 16     |
| Anna Pituch-Noworolska <i>Pieta – Michał Anioł Buonarroti</i> .....               | 17     |
| <i>Uczta, Mój album</i> .....                                                     | 18, 19 |
| Joanna Matlachowska-Pala – <i>Szesnastego sierpnia, XXX</i> .....                 | 20     |
| Janusz Czarnecki – <i>fragment książki „Portret Nicole”</i> .....                 | 21     |
| Renata Paliga – <i>Adelajda 2013</i> .....                                        | 22     |
| Aldona Kraus – <i>Kocham być w Aninie, Nowa, wielbi nowe</i> .....                | 23, 24 |
| Wojciech Pająk – <i>List do poetki</i> .....                                      | 25     |
| Jolanta Bulzak – <i>Spełnienie, Maj</i> .....                                     | 26     |
| Maria Magdalena Człapińska – <i>fragmenty książki „Opowiadania”</i> .....         | 27     |
| Maria Żywicka-Luckner – <i>Nad brzegiem plastykowej rzeki</i> .....               | 29     |
| <i>Błazeńska czerwona noc</i> .....                                               | 29     |
| Jerzy Samusik – <i>fragmenty książki „Wokół Annapurny”</i> .....                  | 30     |
| Waldemar Hładki – <i>Moje światy</i> .....                                        | 31     |
| Zbigniew Jabłoński – <i>Obrazek po sztormie</i> .....                             | 32     |
| Halina Berońska-Kulicka – <i>fragment książki „Trzy Obłoki”</i> .....             | 33     |
| Stefan August – <i>Bunt</i> .....                                                 | 33     |
| Zdzisław Gajda .....                                                              | 34     |
| Agnieszka Kania – <i>Budda zdjętą czapkę (Impresje z wrześniowej Japonii)</i> ... | 36     |
| <i>Ryba w damskiej torebce</i> .....                                              | 36     |
| <i>Jebi żongluje dachami</i> .....                                                | 38     |
| <i>Tokio to nie Kraków</i> .....                                                  | 39     |
| <i>Łażnia na zimno</i> .....                                                      | 40     |
| <i>Mnich psiarz</i> .....                                                         | 40     |
| <i>Zupa dla Kūkaia</i> .....                                                      | 41     |



## JESIENNE SYMPOZJUM UNII POLSKICH PISARZY LEKARZY W TORUNIU

Toruń – to przepiękne miasto nad Wisłą gościło pisarzy lekarzy – członków Unii Polskich Pisarzy Lekarzy na kolejnym już Sympozjum. Do swego rodzinnego miasta zaprosił nas Kolega Janusz Czarnecki – członek UPPL, który zorganizował Sympozjum wspólnie z Prezesem UPPL prof. Waldemarem Hładkim. Sympozjum rozpoczęło się w piątek 21 września wspólnym obiadem, po którym na krótkie obrady zebrali się: Zarząd UPPL oraz pozostali członkowie UPPL, którzy przybyli na toruńskie spotkanie. Była więc możliwość, choć przez kilka chwil, aby przedstawić i dokonać analizy aktualnych problemów i zagadnień związanych z działalnością naszego stowarzyszenia. Przyjęto także do Unii nowych członków, którym podczas obrad wręczono uroczyste legitymacje członkowskie. Zostali nimi dr Halina Berońska-Kulicka z Warszawy oraz dr Ryszard Pachecka z Pruszkowa. Później królowało już słowo literackie, zarówno poezja jak i proza. Spotkał się bowiem na pięknym i wzruszającym spektaklu literacko-muzycznym pt. „Toruńskie Spotkanie ze Słowem”, do którego scenariusz napisał prezes UPPL prof. Waldemar Hładki, wybierając wiersze i fragmenty prozy do prezentacji, dbając jednocześnie o oprawę muzyczną spotkania. Utwory recytowali aktorzy Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu: Pani Agnieszka Wawrzekiewicz-Kowalska i Pan Paweł Kowalski. Tak więc nastroszeni poetycko podziwialiśmy potem uroki Starego Miasta do późnej nocy. W sobotnie przedpołudnie zaplanowano zwiedzanie miasta z przewodnikiem. Obejrzeliliśmy między innymi Katedrę św. Janów / św. Jana Chrzyciela i św. Jana Ewangelisty/. W Katedrze tej 7 czerwca 1999 r. gościł Papież Jan Paweł II. Dla uczczenia tego wydarzenia zachowano dla zwiedzających tron papieski oraz wzniesiono przed Katedrą pomnik naszego wielkiego, dziś już święte-



go rodaka. Zwiedziliśmy także inne gotyckie kościoły i bardzo interesujące Muzeum Piernika, gdzie poznaliśmy sposoby wypiekania tego smacznego ciasteczka obecnie i przed wiekami. A jak przystało na miasto Kopernika, obejrzelśmy w miejscowym Planetarium seans, dzięki któremu znaleźliśmy się nagle bliżej gwiazd, poznaliśmy tajemnice wszechświata i miejsce naszej planety we wszechświecie. Później przyszedł czas na zakupy – oczywiście pierników. Bo jakże powrócić do swoich domów i nie obdarować bliskich piernikami, z których Toruń przecież słynie od stuleci.

Podczas wspólnego obiadu w hotelu „Gromada”, w którym zamieszkaliśmy, spotkaliśmy się z przedstawicielami władz miasta i województwa: Panem Piotrem Całbeckim – Marszałkiem Województwa Kujawsko-Pomorskiego, Panem Michałem Zaleskim – Prezydentem miasta Torunia i z Panem Wojciechem Kaatzem – Prezesem Kujawsko-Pomorskiej Okręgowej Izby Lekarskiej. Wymienieni przedstawiciele władz zostali Honorowymi Patronami naszego Sympozjum. Goście z dużym uznaniem wypowiadali się zarówno o naszym pełnym poświęcenia zawodzie, jak również o naszych zainteresowaniach pozazawodowych, życząc osiągnięć i satysfakcji w każdej z tych dziedzin. Zadeklarowali również wydanie zbiorowego tomu zawierającego utwory uczestników Sympozjum. Prezes UPPL obdarował znamienitych gości Jubileuszowym Almanachem UPPL wydanym z okazji 50-lecia Unii Polskich Pisarzy Lekarzy.

Sobotni wieczór wypełnił nam spektakl w teatrze im. W. Horzycy. Było to „Tango” Sławomira Mrożka w ciekawej i oryginalnej adaptacji i reżyserii, a tak na marginesie nie wiadomo, czy autorowi sztuki spodobałaby się interpretacja jego utworu. Po spektaklu spotkaliśmy się z krytykiem literackim Panem Markiem Wawrzekiewiczem, Prezesem ZG Związku Literatów Polskich, który wspólnie z autorami i uczestnikami sympozjum przeprowadził analizę nadesłanych wcześniej utworów literackich. Spotkanie to było bardzo owocne.





i w wielu przypadkach odmieniło nasze spojrzenie na arkana sztuki pisarskiej, na których wzorują się artyści i twórcy, nie tylko piszący lekarze.

Niedziela to już czas pożegnań. Czas minął bardzo szybko. Toruń żegnał nas, częstując oczywiście pysznymi piernikami i równie pyszną kawą. Wcześniej uczestnicy Sympozjum udali się na mszę do katedry pod wezwaniem św. Janów. Kapłan ks. prałat Marek Rumiński celebrujący mszę w naszej intencji wspominał o lekarzach pisarzach, polecając nas modlitwie wiernych, obecnych w świątyni. Podczas homilii zacytował fragment wiersza jednej z naszych koleżanek, Aldony Kraus. Żegnając się serdecznie, obiecaliśmy sobie, iż spotkamy się na kolejnym Sympozjum za rok, znowu w jakimś pięknym miejscu w Polsce.

***Sekretarz UPPL***  
***Magdalena Człapińska***





Fot. Łukasz Piecyk dla UMWKP

Z ogromną przyjemnością gościliśmy Państwa, parających się literaturą medyków, w naszym regionie, w klimatycznym Toruniu. Można powiedzieć, że wyborem miejsca spotkania idealnie wpisali się Państwo w nasze strategiczne preferencje – w kujawsko-pomorskiem konsekwentnie stawiamy bowiem na medycynę i z dumą wspieramy wartościowe rzeczy w kulturze. Zapraszamy ponownie mając nadzieję, że środowiskowe sympozjum będzie można połą-

czyć tym razem z jakąś formułą otwartych spotkań literackich. Wartościowa literatura zasługuje wszak na popularyzację.

Postawa lekarza i perspektywa pisarza bywają podobne – obie oparte są na wnikliwości obserwacji, przenikliwości, wiedzy o naturze człowieka, głębokim humanizmie, empatii. Jestem przekonany, że z fuzji tych dwóch misji, dwóch pasji rodzić się muszą dzieła głębokie, ważne refleksje nad ludzką kondycją, wrażliwość na innych – w obu dziedzinach. Wierzę, że towarzyszy temu mądrość – taka, o jakiej pisał Axel Munthe, lekarz i autor książek, społecznik, upatrując jej źródła nie tylko w wiedzy, ale też w „głębi naszych samotnych rozmyślań i marzeń”.

Mądrość każe odrzucić oceny oparte wyłącznie o rachunek kosztów i zysków, o chłodną analizę, o „szkiełko i oko”, nawet jeśli te mają oparcie w najnowszych zdobyczach nauki. Wie, że nie wszystko w naszym życiu tego rodzaju ocenom się poddaje. Na szczęście. Axel Munthe: „Istnieją tacy, którzy przez całe życie nigdy nie widzieli krasnoludka. Współczuję im głęboko, gdyż wiele stracili. Sądzę, że są chyba krótkowzroczni.”

*Z pozdrowieniami*

**Piotr Całbecki**

**Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego**





Najsławniejszy z torunian, Mikołaj Kopernik, był nie tylko genialnym astronomem, ale także wykształconym i praktykującym medykiem. Na dodatek właśnie jemu przypisywane jest autorstwo łacińskiego poematu „Septem sidera”. O tych dwóch walorach kopernikańskich przypominamy w Toruniu wszystkim gościom naszego miasta. Z oczywistych powodów podzieliliśmy się nimi także z uczestnikami sympozjum Unii Polskich Pisarzy Lekarzy Toruń '2018. Za szczególnie i wymowny zbieg okoliczności na-

ależy traktować to, że równoległe z tym prestiżowym spotkaniem (21 września 2018 r.) poświęcono w toruńskiej katedrze pw. św. Janów Kaplicę Kopernikańską po jej konserwatorskiej restauracji. Właśnie w niej znajduje się oryginalna, gotycka chrzcielnica, przy której Kopernikowi nadano imię. Wraz z pobliskim Domem Mikołaja Kopernika wskazuje ona na fenomen, którego symbolem stała się najsławniejsza księga w dziejach nauki polskiej: *De revolutionibus orbium coelestium*.

W ten oto sposób jesienne spotkanie lekarzy pisarzy w Toruniu zyskało nobliwy, bibliofilski i zapewne także literacki kontekst. Zdaje się on przekonywać, że właśnie Toruń jest w Polsce przyjazną przestrzenią miejską, w której symbioza literackich upodobań i lekarskiego powołania idealnie spełnia wymogi renesansowego kanonu wartości. Ten wniosek należy odczytywać jako trwałą życzliwość kopernikańskiego Torunia dla całego środowiska Unii Polskich Pisarzy Lekarzy – dziś i w kolejnych latach.

**Prezydent Miasta Torunia**

**Michał Zaleski**





Idea zorganizowania Sympozjum Unii Polskich Pisarzy Lekarzy jesienią 2018 roku była znakiem szczególnym dla naszej Kujawsko-Pomorskiej Okręgowej Izby Lekarskiej. Zaszczyt otoczenia tego niezwykle wydarzenia kulturalnego Patronatem Honorowym wpisuje się piękną kartą w jej współczesną historię. Siedzibą naszej izby jest Toruń, miasto o przebogatej historii, wspaniałej wielowiekowej kulturze i ujmującej unikatowej atmosferze. Wybór tego właśnie

miejsca na sympozjum UPPL jest żywym dowodem na to, że współcześni pisarze, mentalni potomkowie Hipokratesa, uznali Toruń jako godny bycia świadkiem ich spotkania, wymiany myśli i prezentacji swej twórczości.

Żywię nadzieję, że miejsce to dla niektórych było zarazem weną i muzą, inspirującym natchnieniem dla kolejnych wersów, strof, tomików i powieści. Wspaniałe zarazem jest to, że wykonując zawód lekarza, pomimo wielu codziennych zajęć i obowiązków potrafią Państwo, w zapewne nielicznych wolnych chwilach przelać na papier to, co „w duszy gra”.

Tworzą Państwo tym samym szczególnie wrażliwą grupę ludzi pragnących dzielić się z innymi swoimi refleksjami, twórczą pasją i własnym postrzeganiem obrazu świata.

Życzę pełnego refleksji i zadumy, wielopokoleniowego odbioru owoców Państwa natchnienia, a wszystkim czytelnikom i adresatom nadziei, że w Państwa sercach i duszach jeszcze wiele pięknych i cennych myśli się narodzi.

**Wojciech Kaatz**  
**Prezes KPOIL**



## PROLOG

„Słowa same poprowadzą. Słowa wszystko na wierzch wywleką. Słowa i z najgłębszej głębi wydrą, co gdzieś boli i skowycze. Słowa krwi upuszczą i od razu lżej się robi... Bo słowa to wielka łaska. Cóż ma człowiek tak naprawdę więcej prócz słów dane? I tak nas wszystkich czeka kiedyś wieczne milczenie, to się jeszcze namilczymy. Może przyjdzie nam ściany z bólu drapać za najmniejszym słowem. I każdego słowa niewypowiedzianego na tym świecie do siebie będziemy jak grzechów żałować... A ileż takich słów niewypowiedzianych zostaje w każdym człowieku i umiera razem z nim i gnije z nim, i ani mu potem w cierpieniu nie służy ani w pamięci. To po co jeszcze sami sobie zadajemy milczenie?”

***Kamień na kamieniu***  
(fragment)

***Wiesław Myśliwski***





**ALMANACH JEST KOMEMORACJĄ  
SYMPOZJUM UNII POLSKICH PISARZY LEKARZY  
W TORUNIU  
POD PATRONATEM HONOROWYM:**



Marszałka Województwa  
Kujawsko-Pomorskiego  
Piotra Całbeckiego



Prezydenta Miasta Torunia  
Michała Zaleskiego



Unii Polskich Pisarzy Lekarzy



Kujawsko-Pomorskiej Okręgowej  
Izby Lekarskiej w Toruniu

Almanach w całości został sfinansowany ze środków  
Kujawsko-Pomorskiej Okręgowej Izby Lekarskiej w Toruniu.



*MARIA MAŚLIŃSKA*

### **Poezja**

poezja to nie chleb  
nie jest powszednia  
a rozkruszone słowa  
nie lepią się w kulkę

nie pasuje do mielonego  
lecz czasem  
trochę czerstwieje

praktycznie  
niepraktyczna  
to jednak...  
dodana do kawy  
ma cudowny smak  
życia



ZBIGNIEW KOSTRZEWA

XXX

**Pamięci Antoniego Czechowa**

Jestem papierowym twórcą  
zapisze świat tylko w jednym egzemplarzu  
na stronie nie zostawię miejsca  
na margines  
nawet Szekspirowi  
żeby nie mógł dopisać słowa  
a Czechow  
nie próbował pisać kolejnej sceny  
w której tylko cisza zalega  
jak ma cmentarzu  
a prawdziwe życie milczy  
i czeka na oklaski  
gdy zapadnie kurtyna  
On  
może jeszcze  
postawić tylko kropkę nad i  
w ostatniej scenie  
i koniec.  
A ja piszę  
dopisuję do Czechowa  
wciąż ostatnie zdanie  
zanim ludzie  
przesną biec brawo  
i w szatni pozostanę  
już do końca.

**Miniatura**

Tysiące słów  
wybrałem kilka  
nikt  
ich nie powtórzy  
zaplątane w sieci  
w ławicach  
wielkiej wody  
w puszcze  
jednego wiersza



## Pont d'Avignon

Trzymam nowiutką fotografię  
Wspominam najdźwięczniejszy dzwon  
I myślę sobie czy potrafię  
Tańczyć jak wtedy w Avignon?

Czy w zamian za nadęte pozy  
Co uderzają w dobry ton  
Przyniosę ci poezję prozy  
Tak jak na moście w Avignon ?

I kolorowo – tak najprościej,  
Jak przy zerwanym wodą moście  
Budujemy własne Avignon

## Kod da Vinci

Neuronów zwój zapisałem  
Kodem słów, myśli, gestów  
Oznaczyłem inicjałem  
Pudełko chroniące krypteksu

Pergamin z grzesznym wyznaniem  
Położyłem z fiołką kwasu  
I zamknąłem w jedno zdanie  
Na najcięższą próbę: czasu

Złamać szyfr – nie łamiąc życia  
Odkryć prawdę – do ukrycia  
Trzymać twarz pod fałszu maską

Nie być cieniem i stać w cieniu  
Nic nie widzieć w zapatrzeniu  
Stale trwać – by trwała w blasku



**ANNA PITUCH-NOWOROLSKA****Pieta****Michał Anioł Buonarotti**

Wiem, że jest martwy,  
Lecz zostawcie go dla mnie  
Teraz gdy tłum się rozbiega  
I skończyło się widowisko...  
Zostawcie go na moich kolanach  
Jak wtedy gdy mieścił się na nich cały  
I mogłam go zamknąć w kręgu moich rąk.  
Teraz na prawej dłoni leży bezwładny ciężar  
Z jego oczami i skrwawioną twarzą.  
Odpocznij synu zmęczony umieraniem...  
Odpocznij –  
Daję ci moje ciepło,  
Bo jesteś chłodny jak kamień  
Biały, gładzony szorstką dłonią..  
Jeszcze czuję stuk młotka i dłuta..

Podobno już wszyscy odeszli.  
Cicho jakby nas nie było,  
Jakby nic się nie zdarzyło..

I otarła mu twarz z krwi zakrzepłej z kurzem  
Uczesała czarne włosy, domknęła powieki  
Cicho, spokojnie  
Jakby była młodą dziewczyną  
A nie matką z ciałem syna...





## **Uczta**

Siedzieli przy stole  
Z drzewa litego z zapachem brzoź  
On pił słońcem sycony miód  
Ona – wino lekkie jak sen...

Przysiadł się czas smutny i wolny  
Dni jak liście zbierał.  
Poszarzał świat, nadchodził nowy świt.  
On dalej pił złoty miód  
Ona – wino lekkie jak sen...

Przepłynął obok mróz i mgła,  
Jak nieproszeni goście zniknęli szybko  
Choć pozostał po nich ślad  
On dalej pił złoty miód  
Ona – wino lekkie jak sen...

Dni ubyło, wieczór jesieni  
Upłynął gęsty jak ptaków krzyk.  
On dalej pił złoty miód  
Ona – lekkie jak sen wino...



## Mój album

Wkładam do skrzyni pamięci  
Jesienne bukiety tamtych słów i milczenia  
Na polanie lasu pełnego ptaków i zapachów.  
Odłożyłam twoje fotografie  
I powoli odkładałam dotyk twoich rąk  
Który łagodził trudny czas...  
Odkładałam pamięć szarych dni zim  
Splatanych polityką walki z własnym narodem  
Gdy lata przepływały bezpowrotnie  
Pełne beznadziei milczenia.

Do skrzyni pamięci wrzuciłam spacer  
Po ulicach naszego prywatnego miasta  
W którym listy były rozmową  
A kroki w śniegu odbijały się echem  
Od domów wzdłuż ulic  
Bez komputerów, smartfonów i tabletów....

W skrzyni zostawiam młodość  
Z paszportem do świata,  
Z projektem wielkich czynów  
I marzeń bez ograniczeń...

Gdy pewnego dnia ją otworzysz  
W skrzyni będzie tylko wiatr....

## **Szesnastego sierpnia**

Południe jak ciastko z lukrem  
gdzieś włączone radio  
dzieci rozbiegły się jak kurczaki  
ciepły powiew  
unoszą kłaczki cukrowej waty.  
Tamto dziecko na huśtawce  
ma sześć lat –  
Za rok siedem  
Precyzyjnie nawijam ten widok  
Na kruchy patyczek

biała wata  
ciągle wciska się  
w skończoność pamięci

## **XXX**

Między godziną zmęczonych oczu  
a godziną stukotu kroków w półśnie  
i rąk skulonych z zimna w kieszeniach  
dla szalonych i wariatów  
Rozpięta cienka lina.  
Między ciepłem godzin  
a chłodem odpoczynku  
wąska kreska  
Między wzrokiem utkwionym w  
migotliwą gwiazdę  
a „fiat” z westchnieniem –  
Jest



**JANUSZ CZARNECKI****fragment książki  
„Portret Nicole”**

Przywoływałem jej słowa i zdania, które mi powtarzała: „Niech pan pamięta, że my zawsze się zobaczymy, prawda? Pan i ja, prawda?”. Kładłem jej rękę na głowie jak małemu dziecku i mówiłem spokojnym głosem: „Wiem o tym. Wierzę w to i jestem tego pewien”. To ją przekonywało. Siedząc w łóżku lub na swoim elektrycznym wózku, podnosiła głowę i patrzyła na mnie ufnie, a jej wyraz oczu bardziej przypominał spojrzenie trzyletniego dziecka niż szesnastoletniej dziewczyny. Zawsze mi ufała. Te reminiscencje zmęczyły mnie do tego stopnia, że zasnąłem.

Śniłem, że spotkałem Nicole. Była wyższa niż w rzeczywistości i nie dlatego, że nie siedziała w inwalidzkim wózku – stała z pięknie uczesаныmi włosami, w pięknej brązowo-zielonej sukience, na której były drobne polne kwiaty. Nie widziałem jej twarzy ale wiedziałem na pewno, że jest to Nicole. Podeszła do mnie i delikatnie z boku wyciągnęła rękę, wówczas jej piąty palec prawej ręki dotknął piątego palca mojej lewej... Nagle obudziłem się i poczułem w swojej świadomości, ale i w całym swoim ciele uczucie przyjaźni. Zastanawiałem się, czy jest to przyjaźń Nicole do mnie, czy moja do niej. Kilka chwil wystarczyło, aby poczuć, że było to uczucie ogromnej przyjaźni do mnie. Miałem pełną świadomość, że niedługo zobaczę się z nią. Jednak jedna sprawa interesowała mnie najbardziej: dlaczego nie widziałem twarzy Nicole? Dlaczego dziewczyna nic nie mówiła?



**RENATA PALIGA**

### **Adelajda 2013**

pisze o sobie jak o innej kobiecie  
ona to, ona tamto  
takie małe oszustwo  
albo chowa się pod nickiem w formie uniseks  
pisze cynicznie wulgarnie  
to kręci świat układaczy wierzy

nie ma już proszę ja ciebie zrozumienia  
dla owieczek, pasterek, motylków  
i umierania z niespełnionej miłości  
serce nie pęka od chwili wykonania pierwszego przeszczepu  
seks jest ogólnodostępny  
każdy z każdym i dla każdego  
nowatorstwo poetyckiej formy ma posmak ekshibicjonizmu  
tylko wieczorami  
przez rozmazany makijaż  
wypatruje i wabi  
anioły od miłości



*ALDONA KRAUS***Kocham być w Aninie**

Kocham być w Aninie. Teraz pełnia lata.  
Wszędobylskie promienie na hortensji kwiatach.  
Zielone dywany, na nich rześka rosa.  
Ten zapach poranku, co przysiadł na włosach.

Tyle treli ptaszęcych. Wśród nich jakaś sprzeczka,  
soczysta jak czerwień w dojrzałych porzeczkach.  
Czeremchy owoce, kosze obfitości,  
a pod mirabelką słodkość przy słodkości.

Maliny, jeżyny, agrest. W jabłkach słodycz wzbiera.  
Wiewiórka moje orzechy spod ręki mi zabiera.  
Dzień wolno się wysyca i słońca wciąż przybywa,  
a ja wpleciona w to wszystko, tym latem  
szczęśliwa.





## **Nowa, wielbi nowe**

Kocham szczebiot dzieci i świergot ptaszęcy,  
zmieszany z wiosną co kipi w ogrodzie.  
O, jak bardzo pragnę tego jeszcze więcej.  
Tak łakoma życia, które w trawie brodzi.

W mirabelek tuman i wiśniowe smaki  
w te miliony płatków cała się zanurzam.  
Serce bije młodo, jak wiosenna burza,  
jak ta, cisza po niej i czyste powietrze.

Dom wtopiony w zielenie, bżowe korowody.  
Jasną bryłę wysycają pigwowe czerwienie.  
Zapach go przenika, cały w sosen pyle,  
na dywanie z forsycji cudownie młodnieje.

Skarb znalazły dzieciaki. Skorupki błękitne,  
mówią o narodzinach w gniazdku, na akacji.  
Sójki toczą pod niebem boje z wiewiórkami.  
Nornic kotka pilnuje. Słońce całe w akcji.

Pachnie skoszona trawa. Biesiadują szpaki.  
Tyle tu smakołyków a kosiarka drzemie.  
Gawron ulepsza gniazdo. Dwie synogarlice  
gruchają o miłości, na sąsiedzkim dębie.

Zośka, tegoroczna słoneczna jak nigdy.  
Kocham jej umajenie, świece kasztanowe.  
Z pączków tamaryszka i tawuł olśnienia  
anińska pieśń płynie. Nowa, wielbi nowe.



**WOJCIECH PAJĄK****List do poetki**

Czasami przeczytam i zapamiętam  
złote sylaby twych myśli,  
usiądę, odpocznę i zamknę oczy,  
odleczę a wtedy się przyśni.

Pan w garniturze co mądrze przemawia  
o domu, pracy, rodzinie.  
Z wielkiego miasta pani w beretce  
co widzi człowieka w prawniczym młynie.  
Pana doktora, który wysłucha  
i mądrej udzieli porady.

Księdza, górnika i dziennikarza,  
nauczyciela bez wady.  
Dorosłych, dzieci, wesołą młodzież  
ambitną i z marzeniami,  
która ma afekt i owocuje  
bo daje całymi garściami.  
Budzę się, patrzę przez okno i szybko  
czytam gazety i słucham radia,  
a wtedy dostaję obuchem w głowę  
i nie pomaga tabletką żadna.

Pan w garniturze za nic ma ludzi  
na boku kradnie pieniądze.  
Pani w beretce widzi tłum bytła  
i zwykle nie mówi za mądrze.  
Doktor zmęczony głupoty gada  
bo ciągle dorabia na boku.  
Górnika, dziennikarza, księdza i nauczyciela

jak zwykle bujają w obłoku.  
Młodzież pogardza radami starszych,  
marzy o kupie pieniędzy,  
uczyć się nie chce, robi na lewo  
i ciągle mówi, że ma dość nędzy.

Pisałaś wiersze, dawałaś rady,  
mówiłaś coś o wyrwanych korzeniach,  
coś o miłości i o kryjówkach,  
o czasie owocowania.

Dzisiaj tłum głupców zdobywa świat  
i pyta mnie – Czemu się nie cieszysz?  
A ja ci zazdroszczę droga poetko,  
że tego wszystkiego nie widzisz.



## **Spełnienie**

Dotykam Twoich myśli  
Dotykam Twojej twarzy.  
Jesteś zapachem, ciszą  
I wszystkim o czym marzę.  
Siedziałeś naprzeciwko,  
Tak zdarza się czasami.  
Balowej sali półmrok  
W tajemny krąg wpisani.  
Raniona twe tuliły  
Wilgotnych oczu głębię.  
– Pytałeś czy zostanę?  
Mówiłam – czekać będę.  
Dałeś szczęśliwe chwile  
Łagodnym rytmem spięte  
Rozgrzanych ciał bliskością,  
Kochałeś mnie namiętnie.  
Zostań, nie rań rozstaniem,  
Pomilczmy jeszcze chwilę,  
Nim zgaśnie płomień świecy  
W nicłość się rozplynę.  
Zostań, przytul jeszcze,  
Miłości jest w nas tyle,  
Pragnienia niech się spełnią.  
– Zaczekaj – daj te chwile.

## **Maj**

Pamiętam wilgotne noce  
Pachnące bzami.  
Leżałeś nagi pod kocem  
I ta więź,  
Może miłość między nami.  
W matowym świetle świecy  
Byliśmy jednym ciałem.  
Dałeś wszystko, ja brałam  
I całą mnie dostałeś.  
W kropelkach rosy cali  
Milczeliśmy oboje.  
Dotykam Cię szukałam  
Znalazłam co moje.  
Ta odrobina szczęścia  
Tak skrzętnie ukrywana,  
Spowita mrokiem nocy  
Jak brylant jest mi dana.



*MARIA MAGDALENA CZŁAPIŃSKA***Fragmenty książki „Opowiadania”**

Przyznam ci się szczerze, że kiedyś tak siedziałem na tej ławeczce, najbardziej ubiłem spoglądać na młode kobiety: piękne, pełne życia, tryskające zdrowiem, radością i wdziękiem. Jeśli ktoś, jak ja, stracił sens życia, to widok tych pięknych, młodych kobiet podnosił go na duchu, przywracał radość jego życiu, choć na chwilę. I wiesz, o czym wówczas często myślałem? Żeby obasyć taką dziewczynę kwiatami – całą od stóp do głowy; i później zdejmować delikatnie, powoli po jednym płateczku; i delektować się urodą kwiatów, a tak naprawdę pięknem ciała młodej kobiety i pragnąć jej. Staruszek odwrócił wzrok od okna i spojrzał na mnie.

– Czemu się śmiesz? – zapytał. – To normalne, każdy zdrowy mężczyzna ma podobne marzenia, i z wiekiem wcale nie mija, wiek to nie ma większego znaczenia. Starość jedynie sprawia, że marzenia pozostają tylko marzeniami – stwierdził i również uśmiechnął się. Wy, kobiety – kontynuował. – Wy, kobiety patrzycie na świat inaczej, może to dobrze, że się różnimy, kobiety zawsze wzbudzają w nas dziwny niepokój, ale to miłe uczucie. Moja żona, nierzadko powtarzała, że mnie nie rozumie. Przyznam, że ja też nie zawsze ją rozumiałem, ale mimo to byliśmy szczęśliwym małżeństwem. Nie wiem, czy z inną kobietą byłbym szczęśliwszym człowiekiem – może tak, a może nie. Nie wiem i już się tego nie dowiem. Kiedyś dawno, kiedy poznaliśmy się, od pierwszej chwili szliśmy ku sobie: chwila po chwili, dzień po dniu, szliśmy ku sobie, jak dwoje ludzi stojących na przeciwnych brzegach rzeki idzie u siebie, aby w końcu spotkać się pośrodku długiego mostu. Później, z upływem czasu zmienialiśmy się, wzajemnie kształtowaliśmy nasze charaktery. Jak ona by teraz wyglądała, nieważne, ale miałbym ją przy sobie i to byłoby naprawdę



ważne. To niepojęte i przykre zarazem, jak starość oszpeca ludzi: ich oczy tracą blask, a twarze porane zmarszczkami nie przypominają już twarzy tamtych ludzi sprzed laty, którzy patrzyli na siebie z zachwytem. Stary człowiek staje się bezkształtną bryłą, coraz mniej podobną do ludzkiej istoty. Jestem świadomy tego i nie boję się, tak jak nie boję się śmierci. Nie stanę się ostatecznie bryłą, bo mój czas jest krótki i niczego już nie potrzebuję. Zapamiętaj, człowiek jest ofiarą składaną Matce-Ziemi przez innych ludzi, przez następne pokolenia; przez dzieci i wnuki; tak jest od tysięcy lat i nic tego nie zmieni. Nie patrz tak na mnie, i niech cię nie dziwi, że człowiek może czuć się szczęśliwy umierając...

Myślałam o chlebie, dobrym, pachnącym, takim, jaki kupuję codziennie w osiedlowym sklepiku od lat. Gdyby chleb był tylko pokarmem, to tuczylibyśmy się nim jak zwierzęta. Rozdzielany, jest symbolem sprawiedliwego podziału wspólnie wytworzonych dóbr i jest dowodem miłosierdzia, wobec tych, którym go brakuje.

Spożywając chleb wraz z innymi: członkami naszych rodzin, z przyjaciółmi, a nawet obcymi nam ludźmi, podkreślamy, że jesteśmy wspólnotą. Dawniej, w czasach biblijnych, dzielenie chleba było religijnym obrządkiem. Dzisiaj utraciło już dawne znaczenie, spowszedniało, ale nawet dzisiaj nadal budzi w nas dobre instynkty i przyzwyczajenia.

Chleb, jak świt, przydaje blasku oczom; przeistacza się w światło: silne, intensywne, szerokie, pozwalające ludziom odróżnić barwy, nadaje sens każdemu dniu.

Chciałabym, gdziekolwiek rzuci mnie los, i bez względu na to, czy będę niosła ludziom pomoc, czy też nie, aby świętość spożywanego chleba dla wszystkich ludzi, dla starych i chorych, dla młodych i zdrowych; i dla mnie, pozostała niezmienna, i żebym pamiętała jego smak wszędzie, nawet na krańcu świata...



MARIA ŻYWICKA-LUCKNER

### Nad brzegiem plastikowej rzeki

misiek wypruwa z siebie resztki trocin  
pinokio nadążył – i cały jest w sękach  
dziewczynka z krainy nieuregulowanej Wisły  
chce rosnąć nad brzegiem  
bo chłopcy już w drodze na wody szerokie  
matka ostrzega – tylko nie przed Janem  
– rzeka potrafi zwierać się jak uda  
na całe lata połykania wody  
i przyszło ich wielu wybierać ją wezbraną

### Błazeńska czerwona noc

podajesz kawę (nie do łóżka) – nazbyt blisko  
i twoja kobieta wślizguje się we mnie  
jak pod skórę ogień  
dzikim głosem krzyczy  
gdy wkładasz palce pomiędzy  
ucho filiżanki  
kawa się zagęszcza  
zaczynam oddychać poprzecznym powietrzem  
wzbieram w każdą winę  
*Nie wiem jeszcze jak wielką*



## **Fragmenty książki „Wokół Annapurny”**

Najpiękniejsze chwile przychodzą o zachodzie słońca. Siadam wówczas na tarasie domku, w który mieszkaliśmy, i słuchając furkotu modlitewnych chórągiewek, patrzę, jak z pól powracają do wsi ludzie, jak zapalają w domkach naftowe lampy i rozniecają ogień w paleniskach, jak nad dachami domów pojawiają się dymy, a później rozchodzą zapachy przyrządzanych potraw. Wieś stopniowo kryje się w gęstniejącym mroku i tylko mrugające światełka lamp świadczą, że toczy się w niej jakieś życie.

A tymczasem na wierzchołek Annapurny III padają ostatnie promienie słońca schowanego już za „Wielką Barierę”, utworzoną przez wysoki grzebień górski ciągnący się od Roc Noir do Nilgiri. Srebro śniegu nabiera złotawego odcienia, szarzeje ku dołowi by przejść w granat i czerń na granicy lasów. Nad Gangapurną, tuż ponad jej najbardziej ostrym wierzchołkiem, zapala się pierwsza gwiazda. Zdaje się być lampą zawieszoną na szczycie góry na niewidzialnej tyczce. A u jej podnóża ożywa w wieczornej ciszy lodowiec schodzący nisko szerokim jęzorem. Dobiegają stamtąd dziwne odgłosy, jakieś sapania, pomruki, głuche trzaski i nagłe wystrzały. Lodowiec „płynie”, zsuwa się centymetr po centymetrze ze stoku Gangapurny, marszczy swoją powierzchnię, poszerza szczeliny, pcha przed sobą głazy i żwir, by utopić je w niewielkim jezioru....

Słońce skłania się już ku zachodowi, gdy szlak sprowadza nas na dno wąwozu. Idziemy nim dosyć długo, a on obniża stopniowo swoje ściany i otwiera się na rozległą przestrzeń w pobliżu słynnego sanktuarium w Muktinath. Za długim, niezbyt wysokim murem, którego fragmenty wyposażone są w mandle – mosiężne młynki modlitewne, widać dziesiątki, jeśli nie setki czortenów. W głębi, między gęsto rosnącymi drzewami, prześwitują ściany małej pagody,





Dziwala Maji, poświęconej Wisznu. Otacza ją murowana ściana, zaopatrzona w 108 wyrzeźbionych z kamienia krowich głów o pyskach tryskających świętą wodą. Poniżej pagody znajduje się inna, stara świątynia, przypominająca buddyjską gompę. W jej wnętrzu, ze skalnej szczeliny, ukrytej za obszarpaną kurtyną, wypływa płonąca woda. Zjawisko zupełnie nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe i do tego zrozumiałe. Otóż, razem z wodą wydobywa się z otworu w skale gaz ziemny. Został on kiedyś zapalony i płonie po dzień dzisiejszy, ściągając pobożnych pielgrzymów, nie tylko z całego Nepalu ale i Indii, Tybetu, a nawet Sri Lanki. Zarówno buddyści, jak i hinduiści uważają za święte to miejsce, w którym połączyły się cztery żywioły: ziemia, ogień, woda i powietrze.

---

**WALDEMAR HŁADKI**

### Moje światy

Niebo nad horyzontem  
pomarańczowym światłem  
rzeka spływa gasnącym ciepłem  
w kolorach zachodu  
sawannowe góry przeżyły  
śpiewają pieśń przetrwania  
układam mozaikę  
upolowane chwile  
myśliwskie trofea  
bez krwi i cierpienia

tak jest naprawdę  
wieczorne znużenie  
zasiada wygodnie  
w brezentowym fotelu  
pod akacjowym parasolem  
w cieniu spełnienia  
przytulam moje światy

*Delta rzeki Okavango  
Botswana, 22.02.2017 r.*



## Obrazek po sztormie

Odszukaj go w szalejącej bieli  
Powietrza  
Zagłębieniach wirów ziarnistej plaży  
Pożeraniu wydm  
Może namaluj obraz  
Szyb wyciśniętych z okien.  
Utrwal na taśmie magnetofonu  
Dysharmonię świstów  
A nieśmiałość trawy wpisz  
W szelest wiatru kiedy nastąpi sztil.  
Połamana wierzba rozmyśla  
Nad losem martwych ryb  
Zawilgoconych bielą słonej  
Patyny Morza.  
Sosna obojętnie ogląda  
W odbiciu falującego lustra wody  
Wykrzywiona karłowatość pnia.  
Gdzieś wysoko  
Samotne głazy urwiska unosi  
Oddech wody, jakby chciał im  
Oddać swobodę ciężenia...  
Wiatr wypluwa chmurne kłęby  
Ciemności  
I siła rzuca ku słońcu  
Wyjąc na widok oparów  
Ginących w świetle jak ćmy.  
LUDZIE – mówią zwyczajnie  
Dziesięć w skali Beauforta.



*HALINA BEROŃSKA-KULICKA***Fragment książki „Trzy Obłoki”**

Rozejrzałem się szybko wokoło. Było już dawno po zachodzie słońca. Nad jeziorem unosiła się lekka mgiełka a na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Nad lasem ukazał się wschodzący księżyc. Słysząc było kumkanie żab. Spojrzałem na wesoło trzaskające czerwono-żółte języki ognia na gałęziach ułożonych w zgrabny stos. Kasia pałaszowała swoją kielbasę, mama zawijała w folię aluminiową ziemniaki, a tata dorzucał drwa by zrobić większy żar. Przetarłem oczy. „A więc to był sen” – pomyślałem i nagle ujrzałem, że mam na sobie pomarańczową bluzę. Szybko spojrzałem na Kasię. Miała identyczną. Skierowałem wzrok na kaptur. No tak, nie myliłem się. Było na nim słońce. Teraz dopiero zauważyłam, że rodzice też są ubrani w takie same bluzy. Chyba mama pierwsza zauważyła moje zdziwione oczy.

*STEFAN AUGUST***Bunt**

|                      |                          |                            |
|----------------------|--------------------------|----------------------------|
|                      | I tylko dziki krzyk      | Gdzie jest mój świat?      |
|                      | Dłoń Pełna łez           | Gdzie jest miłość?         |
| Ciemna noc           | Bo ktoś cię zranił       | Nie wiem                   |
| Dziwny cień          | I tylko płacz            |                            |
| I księżyc jakiś inny | Rozpacz też              | Nie widzę nic              |
| Zniknęła noc         | Dlaczego? Za co? Za nic? | Nie widzę cię              |
| Pozostał cień        |                          | Wszystko się jakoś rozmyło |
| I smak jakiś naiwny  | Zgubiłem sens            | Przetrzymać burzę          |
|                      | Zgubiłem nas             | Przetrzymać wiatr          |
|                      | Zgubiłem siebie          | Czekać na słońce           |
|                      | Gdzie jest mój cel?      | I wielką miłość?           |



Rzym. 30 czerwca 2003. Potworne upały, straszliwe noce. Temperatura niespotykana od dwustu lat, czyli odkąd mierzą tu temperaturę. Rozgrzane kamienie, brudne ulice, przywiedła zieleń. Od kwietnia nie spadła na Rzym kropla deszczu. Rzym nie może inaczej wyglądać. Ludzie zmęczeni. Widać to po twarzach. Gdzie te piękne Włoszki? Rozglądam się dookoła. Gdybym zapytał, pewnie by mi odpowiedziano, jak kiedyś w Paryżu: „za kierownicą własnych samochodów!”. To, co widzę, ma walor przeciętności. Zwłaszcza makijaż. Coś potwornego: albo krwistym karminem usta w serduszek (dla mnie wspomnienie odległej młodości, ba nawet wieku niemowlęcego) lub, o zgrozo, czarnym węglem plastyków zrobione okropne usta, dopędzające wszelką pokusę. Koszmar! Najpiękniejsze dziewczyny jakie spotykam, mają skośne oczy i chodzą do przedszkola. Wspaniałe biusty kamiennych heroin świadczą, że dawniej było lepiej. Ale do nich ani się przytulić, ani ogrzać.

Wacław notuje spostrzeżenia. Zbiera materiały do albumu o Kochanowskim: monumenta, które poeta widział i które mogą go pamiętać. Jest ich sporo. Dorzucam jeszcze szpital św. Ducha, czyli Ospedale San Spirito in Saxia. Jest wiekami słynny. Stał tu, gdzie my teraz stoimy, Staszic go opisał. Przed wiekami musiał tu też być Kochanowski.

Po odpustowej mszy na Watykanie siadamy w bocznej ulicy przy stoliku ustawionym na chodniku. Zanim zjawi się kelnerka, obserwujemy nieprawdopodobne, jak na tę posuchę, zjawisko. Przy sąsiednich stolikach krząta się młoda dziewczyna. Czarne włosy, śniada cera nie pozostawiają wątpliwości co do tego, że mamy przykład typowej Włoszki. Wdzięk nieprawdopodobny, uśmiech zniewalający. Białe zęby i do tego wspaniałe, iście profesjonalny makijaż. Tak, to naprawdę ITALIANA VERA. Tak musiały wyglądać modelki Rafaela, być może Laura Petrarki. Beatrice Dantego rysuje się zupełnie ina-



czej, ale na pewno tak wyglądała... Vincenza Armani. Takim uśmiechem mogła zniewolić naszego Jana z Czarnolasu. Błagam Wacława, by fotografie architektury i rzeźb, wszystkie te rzędy martwych kamieni ożywił twarzą tej właśnie Włoszki o nieprawdopodobnym wdzięku południa. Fantazja zaczyna działać coraz mocniej: tak, niewątpliwie tak, upewniam samego siebie, musiała wyglądać Vincenza. Za nią tęsknił nasz Jan, do niej pisał żebząc o wyraz pamięci: żeby wspomniała, żeby list wysłała, żeby (jak napisała jedna ze studentek Wacława) chociaż mu zdjęcie przysłała. Dziewczę jeszcze chwilę się kręci przy sąsiednich stolikach, wreszcie podchodzi do nas, przysłuchując się przez moment naszej rozmowie pyta:

– Panowie skąd? Bo ja jestem z Ełku.



## **Budda zdjął czapkę**

### **(Impresje z wrześniowej Japonii)**

Policjanci ze Szczecina złapali niedawno przestępcę. W lipcową noc, z piątku na sobotę, wspiał się na drabinę i założył posągowi Lecha Kaczyńskiego koszulkę z napisem: Konstytucja, Jędrrek! Rzecznik prasowy Społecznego Komitetu Budowy Pomnika grzmi o hańbie i zniewadze, a prokurator okręgowy rozgląda się za jakimś paragrafem.

Tymczasem w Japonii można bezkarnie odziewać pomniki. I to nie byle kogo. Niejeden odlany z brązu Budda siedzi sobie w wełnianej czapce. A ileż to figurek Jizō pokazuje się w śliniaczkach i różowych sukienkach. I nikomu to nie przeszkadza! Ubrania szyją nieszczęśliwe matki nienarodzonych i pociech, które nie dożyły trzech lat. Mówi się o nich Mizuho, czyli wodne dzieci.

Według legendy maluchy strącono do piekieł, bo za życia nie zdążyły uzbierać dobrych uczynków. Dzieciaki wstają rano i zbierają kamienie. Budują z nich pagody nad brzegiem czarnej rzeki; liczą, że Wielki Sędzia Emma przywoła je wreszcie do siebie. Niestety, każdej nocy demony niszczą pagody i berbecie muszą zaczynać pracę od nowa.

Podobno Jizō, kamienni chłopcy o pyzatyh buziach, wiedzą, jak dojść do krainy cieni. Opiekują się malcami, rozśmieszają je, opowiadają bajki, śpiewają kołysanki. A zimą oddają berety i otulają falbaniastymi fartuszkami. Dlatego japońskie matki, także te przy nadziei, z wdzięczności ścibolą kolorowe śliniaki, haftują sukienki, dziergają czapki, a potem zakładają na posągi Jizō, Buddy i pielgrzymów.

## **Ryba w damskiej torebce**

Trzeciego września 2018 roku zapuszczamy się do Kabukizy. Wciśnięty pomiędzy tokijskie wieżowce teatr przypomina połączany gołębnik. Kupujemy bilet od czwartej po południu – w nieskończoność, aż wybrzmi ostatni akt. Sie-



dzimy na parterze, obok gejszy w jedwabnym kimonie typu komon, na którym kolorowe kropki zlewają się w smoki. Pani przyszła sama, nie licząc rękawów do ziemi, płaszczyka *haori*, pasa obi, skarpet tabi, kłapek bikkuri, nefrytowych szpilek do włosów *kanzashi*, sznurka *detajime*, pudełka na drobiazgi *inro*, a także haftowanego worka, skórzanego kuferka, wachlarza i lornetki... Nie jestem pewna, czy zmieści się na jednym fotelu. Przyklejamy się z S. do siebie i robimy miejsce nieznajomej. Kłania się i zabiera do roboty. Coś tam zwija, skraca, roluje, spina, podwiązuje, ustawia jedno na drugim, popycha kolanem. I w końcu zasiada.

Wieczór otwiera bajka o pajacu. „Sanbaso” kiwa się, poruszany niewidzialnymi sznurkami, jak Pinokio. Następnie rozgrywa się tragedia księcia Shunkana skazanego na wygnanie z Kioto. Dramat napisał Haike Nyogo no Shima, nazywany japońskim Szekspirem. Są więc intryga, miłość i ofiara z życia.

W tradycyjnym teatrze kabuki występują wyłącznie mężczyźni, gdy odgrywają kobiece role, popiskują, drobiaź kroczy i sznurują buzie w ciup. Bez podpowiedzi trudno odgadnąć, która to urodziwa *maiko*, a która ohydna macocha czy inna szpetna starucha. Dlatego na podwyższeniu siedzą komentatorzy, jak chór u starożytnych Greków albo Głos z *Randki w ciemno*. I pomagają odczytać Shunkana – Hamleta.

W antrakcie oglądamy sztukę jedzenia. Widzowie, ci z prawdziwego zdarzenia, nie płaczą się po kularach, zostają na widowni. Gdy opada kurtyna rozwiązują wstążki, odwijają złotka, rozcinają celofany, prostują papierowe obrusy i pokazują sztuczkę: *stoliczku nakryj się*. Na ich kolanach lądują pałeczki i drewniane pudełka. Czego w nich nie ma! Ryżowe kulki, ciasteczka nadziewane fasolą, pierożki, kalmary i ośmiorniczki. Wszędzie pachnie surową rybą, wasabi, sosem sojowym i choćbyś nie przepadał za *sashimi*, kiszki marsza grają. Tym razem i my zadbałimy o suchy prowiant, już nie musimy głodni spacerować po foyer jak pospolici turyści.



Teatralny wieczór kończy się opowieścią o anielicy. Roztargniona zgubiła pelerynę z piór, więc nie wróci do raju. Chyba że zatańczy. Ale jak! Żadnych podskoków, wywijasów, kołysania biodrami, żadnej giętkiej Piny czy stepującej Ginger Rogers. Bo w buddyjskim Elizjum taniec znaczy tyle co finezja. Ona – czyli on w kobiecych szatach, ledwie odrywa stopy od podłogi, a najbardziej szalonym gestem, na jaki sobie pozwala, jest wywiniecie rękawa.

### **Jebi żongluje dachami**

Następnego dnia Japończycy oglądają inny spektakl. Wystawia się Jebi. Na żywo. Ma polot – 47 metrów na sekundę. Działa na oślep, ale z rozmachem. Do Osaki wpada jak Andrea Bocelli, na jeden występ solo. Najpierw szatkuje most łączący lotnisko ze stałym lądem. Podtapia pasy startowe i więzi na sztucznej wyspie Kansai trzy tysiące pasażerów. Chce dobrze wypaść. Niczym prestidigitator, hokus-pokus-cyrkowiec, łowi zacumowany przy redzie tankowiec (długi jak Solaris, i to po rozbudowie!). I ciska nim o molo. Stalowy gigant gnie się niczym dywan na trzepaku. I zdechły, szmaciany rozkłada się tam, gdzie porzucił go magik.

Ale to dopiero rozgrzewka. Jebi, co w języku koreańskim znaczy Jaskółka, wyrывa semafor. Odkleja tory od nasypu. Zdiera fasadę wieżowca, wyłuskuje zeń szafy i segregatory, wyrzuca z dziesiątego piętra na chodnik. Łamie lampy uliczne i układa tor przeszkód na jezdni. Roztrzaskuje wystawy sklepowe, a pociągi zmienia w stertę złomu. I wściekły kołuje nad salonem Ferrari, gdzie pyszni się pięćdziesiąt bajecznych aut. Zgniata wszystkie, jak plastikowe butelki po mleku.

I jeszcze mu mało. Żongluje dachami. Sieka domy. Podrzuca w górę rozpędzone ciężarówki jak piłeczki pingpongowe. Już ma zwiać na północ, gdy przypomina sobie o diabelskim młynie, górującym nad miastem. Puszcza go w ruch, niczym hula hop lub koło fortuny. Podpory trzeszczą, szczeble zgrzytają, wagoniki fikają salta i koziołki. Zlatują się filmowcy, fotorepor-





terzy i dziennikarki, bukmacherzy i zawodowi gracze. Obstawiają dziesięć do jednego. Że młyn się zawali. Że runie. Że się połamie na okolicznych biurowcach.

### **Tokio to nie Kraków**

W kurorcie niedaleko Osaki zaklepaliliśmy sobie pokój z widokiem. Hotelik stoi na cyplu wrzynającym się w morze. Ale 4 września *shinkansen*, zamiast pędzić z szybkością 400 kilometrów na godzinę, zatrzymuje się na pierwszej stacji za Tokio. W ubiegłym roku wszystkie pociągi-pociski (jak mówią o nich flegmatyczni Anglicy) uzbierały raptem jedną minutę spóźnienia, a my stoimy już dobrych parę godzin! Z głośników sączą się komunikaty (po japońsku, chińsku, koreańsku, w kilku dialektach hindi, wreszcie i po angielsku): ruszamy, jeśli tajfun pozwoli. Trudno, przekimamy w wagonie – kombinujemy z S. moszcząc się w obrotowych fotelach. Jednak, gdy zapada zmrok obsługa grzecznie i stanowczo żegna pasażerów: *Wysiadka. Arigato gozajmas. Dziękujemy bardzo.*

Na peronie gęsto od podróżnych, ciasno od walizek i brakuje sieci. W wykwintnej restauracji niedaleko stacji też. Jest za to kelner. Dociążonych plecakami nie wpuszcza. Telepiemy się kolejką podmiejską do stolicy, tam wałęsamy po ulicach, szukamy klubów nocnych, barów, pubów, dyskoteki. Byleby przeczekać. Lecz Tokio to nie Kraków. O tej porze nawet speluny są zamknięte. Kibicujemy ekipom sprzątającym: ktoś na czworaka wciska się do kosza na śmieci, ktoś inny – też filigranowy, przenosi sto krzesel na raz. Chociaż neony migoczą, to noc nie czerpie ze sztucznego światła. Czernieje, gęstnieje, przyprósza miasto jak sadza. Lądujemy pod dworcem. Bezdomny dzieli się z nami kartonem, my z nim przekąskami i oparci o kamienne poduszki – murki, wypatrujemy. On patrolu policji, my pierwszego pociągu do Osaki.

A tam rozbite reklamy, poorany asfalt i domy przykryte workami, jak denaci. Na szczęście dachy złotego zamku Kin-jō nietknięte. Pewnie dlatego, że wywijają się jak płatki sękacza i wichura nie umie ich podejść. Telefon na



cyplu milczy. Ktoś zdradza, że nasz hotelik podmyła fala. Osunął się na plażę niczym zdmuchnięty ręcznik. Czy był ktoś w środku? Może zabłąkany turysta, który też nie wiedział, że nadciąga zagłada? Że toczy się tajfun, i to najgroźniejszy od 1961 roku! Wrześniowy Jebi zabił kilkanaście osób, setki poranił, tysiące pozbawił domów, a kilku milionom odciął prąd.

### **Łaźnia na zimno**

Wyruszamy na górę Koya, udekorowaną świątyniami buddyjskimi. Tam też szalała Jaskółka. Nie kursują autobusy, nie działa kolejka linowa. Na ostatniej czynnej stacji – Hashimoto – pozbywamy się ciężarów i wspinaemy 20 kilometrów dawnym szlakiem pielgrzymów. Skaczemy przez połamane drzewa, ślizgamy między wyrwanymi korzeniami, wpadamy w dziury, wyrwy i pułapki. Barwy zlewają się ze sobą, oczy zachodzą rdzą pni i zielenią liści, wreszcie majaczy jakiś nowy kolor. Przemoknięty las kończy się czerwoną bramą tori.

Pukamy do najbliższego klasztoru. Minuty dłużej się, rozrastają w kwadrans. Furta ani drgnie. Odchodzimy, oglądając się za siebie, gdy przywołuje nas czyjś miękki głos. W drzwiach stoi mnich, bardzo młody, o szlachetnych rysach twarzy. Podświetla nas latarką i taksuje wzrokiem od stóp do głów. Jego czyste skarpety tabi, wystająca spod kimona biała sukienka naga-juban i nawet higienicznie ogolona głowa kontrastują z naszymi pokrwawionymi stopami, pogryzionymi łydkami i zmierzwionymi włosami. Opuchnięte wargi S. układają się w pytanie: czy możemy przenocować? Mnich potakuje nieśmiało i prowadzi nas do łaźni. Z zimną wodą! I gdzie te gorące baniaki z serialu Shogun, w których kąpał się Richard Chamberlain?

### **Mnich psiarz**

W 804 roku japoński cesarz Kammu kazał zaufanemu Kūkaiowi udać się do Chin. *Patrz. Słuchaj. I zapamiętaj.* Wysłannik nie śpieszył się z powrotem. Radował duszę poezją, doskonalił w sztuce kaligrafii i studiował *Świętą księgę herbaty*. Najlepszy gatunek liści ma *zwijać się jak skórzany but tatarskiego jeźdźcy,*



*układać się jak podgardle potężnego wołu, rozpościerać jak mgła nad wąwozem, skrzyć jak jezioro muskane powiewem zefiru* – tłumaczył Lu Wu.

Dwa lata później spokojny, oddzielony od sądów innych ludzi i oderwany od swoich własnych o sobie, przyjmujący z pogodą cokolwiek się wydarzy, wracał do Japonii. *Moim największym pragnieniem jest unosząca się nad górami i łąkami mgła – o poranku i wieczorem* – mówił do siebie.

Wdział kaszaję i wyruszył na spotkanie mgieł. Towarzyszyły mu psy o zakręconych ogonach (dziś powiedzielibyśmy rasowce – akity). Wdrapywał się coraz wyżej i wyżej, przedzierał przez krzaki, grzęzł w błocie i rzucał pchlarzom patyki. A one posłusznie aportowały. Kiedy z wywalonymi jęzorami przygnały na czubek góry Koya, na przemian szczekały, wyły i goniły własne ogony. *Porzędne psy nie podnoszą głosu* – skarcił je pan. I rozejrzał się ciekawie. Osiem wzniesień okalających szczyt odzwierciedlało kwiat lotosu. – *Tu zbuduję klasztor* – postanowił Kūkai. – Zaproszę kolegów. Będziemy dbać o siebie i braci mniejszych, nasze ciała i dusze zażyją harmonii, a dzięki prawdziwym słowom – *shingon* wykroczymy poza siebie. Doznamy oczyszczenia.

## **Zupa dla Kūkaia**

Podobno Kūkai wcale nie umarł.

21 marca 835 roku podreptał do chaty w lesie Okunoin, bo chciał pomedytować. I już nie wrócił do klasztoru.

Dopiero po stu latach pewien nowicjusz odważył się zakłócić mu spokój. Zapukał – cisza. Nacisnął klamkę – poddała się. Popchnął furtę. Zaskrzypiały zawiasy, kurz uniósł się i osiadł. Mnich wziął oddech i wsadził głowę do środka. W mrocznym wnętrzu jarzyła się świeca. Mistrz siedział w pozycji kwiatu lotosu pogrążony w medytacji. Młodzian skrócił mu brodę, zgolił włosy, zmienił szaty i przyniósł zupę miso.

Wyznawcy *shingon* wierzą, że Kūkai do dzisiaj trwa w półśnie wyczekując przyścia współczującego Buddy. Dlatego obok domu czuwania zbudowano kuchnię do szykowania mu przysmaków.



Japończycy, ci którzy wierzą w wędrówkę dusz, chcą być blisko, gdy Kūkai się ocknie. Dlatego w lesie przybywa pomników poświęconych umarłym. Jest ich już ze 200 tysięcy. Rdzawe, chropowate, omszałe, przyprószone igliwem albo lśniące, gładkie, futurystyczne niczym pociągi-pociski do drugiego świata. Ozdobione rzeźbami, oddzielone kamiennymi płotami, tu i tam wbite w ziemię deski – *sottoba*, z wypisanym imieniem dla duszy – *tamashii*. Obeliski – zarówno te wiekowe, jak i te całkiem nowe – pogrążone są w atmosferze snu i czuwania. W rozmytym krajobrazie oko wychwytuje plamy koloru: czerwone czapki posągów Buddy i różowe fartuszki chłopców Jizō. Można cały tydzień kluczyć od barwy do barwy i nie zobaczyć wszystkich odcieni.

\*\*\*

W Koya-san mieszka dziś 4 tysiące osób. Dziesięć setek to mnisi, pozostali sprzedają *jukaty*, drewniane klapki i breloczki z gejszami, doprawiają *ramen*, gotują makarony, zamiatają chodniki, karmią złote rybki i obsługują gości w klasztorach-pensjonatach *shukubo*.

Jebi wpada tam na jeden wieczór. Zrywa dachy, dziurawi ściany i plącze druty wysokiego napięcia. Huczy, grzmi, prycha, wygraża mnichom i wściekły prześlizguje się pod bramą *tori* prowadzącą na cmentarz Okunoin. Złoszczą go olbrzymie drzewa, które pamiętają jeszcze jak Kūkai zaszył się w leśniczówce. Łamie cedry olbrzymy i rozrzuca po nekropolii jak igły. Przewraca obeliski, przesuwa głazy i dmucha w oczy rzeźbom. Kamienni chłopcy Jizō tulą się do siebie. A posągowy Budda zdejmuje czapkę.

I kłania się Wielkiemu Tajfunowi.

Tekst opublikowany w piśmie Uniwersytetu Opolskiego  
„Indeks”, nr 7-8 (189-190), październik 2018  
Unia Polskich Pisarzy Lekarzy





Kujawsko-Pomorska Okręgowa  
Izba Lekarska w Toruniu



ISBN 978-83-942437-7-7



9 788394 243777